



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

BEZ DZIECI I Z DZIEĆMI.

Wiktor Hugo w swych „Liściach jesiennych” woła do twórcy błagalnie i kornie:

„Boże! zachowaj mnie, zachowaj wszystkich, których kocham: braci, przyjaciół i wrogów nawet, od tego, aby patrzyli na lato bez kwiatów, klatkę bez ptaszków, ul bez pszczół—i dom bez dzieci!”

Dom bez dzieci! Oto gdzie się podczas wieczoru zimowego rodzą straszne i smutne nudy...

Niebo jest ciemne; chmury ołowiane ciążą nad ziemią i potokami łez ją oblewają; wiatr jęczy, ogalając drzewa z resztek listków: pozostają tylko tkwiące w ziemi szkielety,

Dzień kona, powstaje noc, która dom i wszystko pokrywa ciemnym płaszczem, roztaczając wszędzie tęsknotę i melancholię.

Dwoje ludzi nie do siebie nie mówi.

Ale milczenie to jest bez powodu i nie ma w niem nic złości. Bo i o cóżby się mieli gniewać? Nie dawno się pobraли, są szczęśliwi.

On jak zwykle rano poszedł do swoich zajęć, ona oddawała wizyty lub pracowała w domu. Zatrudnienia te są pospolite i z nich składa się życie.

Powróciwszy do domu nie wiele mają z sobą do mówienia; nudzą się w swoim mileczącym domu.

Zapalono lampy, rozniecono na kominku ogień, przysunęto krzesadka do tryskających płomieni i iskieł, które żyją, tańczą i śpiewają w tym ponurym salonie. I pod lampą pochylają się dwie głowy, wszystko koło nich mileży, a ich dwoje nudzi się okropnie.

Nagle w tym domu rozlega się krzyk dziecięcy! Dopieroż to radość, ruch i życie napędzają wszystkie kąciki; jakaś uczta niebiańska rozwesela to

gniazdko rodzinne. Dla matki i ojca ta istota jest weicieleniem szczęścia, wspomnieniem, nadzieją! Jakże oni pragną żyć, pracować, troskać się o przyszłość tego nowego króla, gotowi są do wszystkich dla niego poświęceń. Cierpienie dla dziecka, uważają dla siebie za nieskończoną słodycz. Gdy ojciec wraca z całodzienną pracą z uczuciem szczęścia wita swą drogą dziecinę, wraz z matką przypatrzuje się jej, nie mogąc dosyć widokiem tym się nacieszyć, rokoszuje się tą jasną główką i tą świeżą różową buzią.

Niechby zimowe wieczory jak najdłuższe były, nigdy nuda tu się więcej nie wciśnie.

Jeśli dziecko śpiewa i śmieje się,—śmieją się z nim razem, jeżeli usnie, rodzice otaczają kołyską, a marząc o jego przyszłości, przysłuchują się oddechowi delikatnej piersi swego aniołka.

Wiosny, lata, zimy następują jedne po drugich, a dziecko staje się coraz weselsze, roztaczając do koła świeżość poranku.

Nadechodzi wiek młodzieńczy. Wszystko w dziecku się zmienia. Spojrzenie, ruchy cały układ—wszystko jest mniej swobodne w samych rysach twarzy maluje się jakiś odcień poważny. O! czemuż te dzieci rosną, czemu dziecko niedawno uśmiechnięte, pełne wdzięku, staje się chłopcem lub dziewczyną nieśmiałą i lękliwą?

A jednakże wiek młodzieńczy nie jest tak niewdzięczny jak to niektórzy utrzymują.

Jest to wiek nadziei i obietnic, to wiosna w której łąki kwitną, a srebrzące się kłosa zapowiadają rychłe żniwa. Co za wielkie nadzieje napędzają umysł ojca i matki, a zwłaszcza matki. Z niego niezawodnie wyrośnie bohater, lub wielki człowiek—myśli sobie mateczka, a jeżeli to córka—z niej musi być cud piękności. Takie bywają marzenia matek o przyszłości swych dzieci, i marzenia podobne napędzają je rokosz.

Nieznacznie zbliżają się wielkie dni: syn docho- dzi do lat dwudziestu, córka staje się dorosłą pan- ną. On zdał świetnie egzamina, teraz rozpocznie

walkę z życiem, zdobędzie—świetną przyszłość, spełni się marzenia matki. Rodzina słusznie dumna się czuje z tego dzielnego chłopca, który dąży do sławy! Młody chłopiec chce zostać człowiekiem, ma rozpocząć życie nie zupełnie w rodzinnym kółku zamknięte. Młodzieniec dwudziestoletni radby się wyswobodzić z pieczęci i troskliwości mamy, młodzieniec chce być człowiekiem.

Biedna matka! ona przeczuwa, że ten ukochany przestanie być jej wyłączną własnością,—wie że świat jest dla jej dziecka, tego dziecka dwudziesto- letniego, pełnym niebezpieczeństw, że będzie miał do waleczenia z namietnościami i obowiązkami, że musi walczyć z życiem, a jednak mówi mu:

„Idź i walcz!” pewna świetnych walk i pięknych tryumfów. On stanie się chwałą rodziny, ale już do ciebie jedynie należeć nie będzie, przyniesie ci nowe radości, ale zarazem nowe troski i niepokoje. Biedna matka! cieszysz się i płaczesz jednocześnie.

Lecz jeśli to dziecko dwudziestoletnie jest córką?...

„Mężczyzna, powiada John Truskin, będąc obda- rzony imaginacją twórczą, z energią bieży do walk, zwycięstw.

Kobieta stworzoną jest do panowania, a nie do walki...”

Ona panuje przez wdzięk młodości, przez władzę swego spojrzenia jasnego i czystego, przez piękność swej duszy. To młode dziewczę przeistacza się później w władczynię słodką, w szlachetną królową ogniska domowego, jest jak owa lilia, która kwitnie w pośród cierni, jak opiewa *Pieśń nad Pieśniami*.

W latach dwudziestu, nie jest to już ta dziecinna naiwność, która się śmieje bawi, przy wesołych pro- mieniach słońca, dziwiąc się każdej poważnej tro- sce, wierzy w każdą obietnicę przyszłości, zapomina prędko jeśli ją spotka jakiś zawód, a ciągle dąży do jakichś wyżyn, dokąd wieździe polot bujnej imagina- cyi. Piękność, czułość, miłość, wiara, poświęcenie, wszystko to odbija się w ich spojrzeniu. Zjawienie się takiego dziewczęcia rzuca urok na całe kółko

rodzinne, piękność jej duszy i ciała opromienia dom cały.

Na obszernem polu, pod skwarnymi promieniami słońca, pochylają się potem oblane głowy żniwiarzy, dzień się zbliża ku końcowi, a robota musi być skończona przed wieczorem: zdają się słyszeć głębokie, ciężkie westchnienia wychodzące z piersi zmęczonych robotników.

Na pobliskiej łące pokrytej tysiącem kwiatków, młode dziewczęta biegają, zrywają kwiatki, kryją się za wzgórkami i znów wracają, by napełnić swe koszyczki, — a w powietrzu słychać śpiewy, śmiechy bez końca. Pracownicy podnoszą głowy, przypatrują się temu wesołemu zjawisku przysłuchając się tym dźwięcznym pieniom, zapominają o upale dnia, i czują że są chwile radosne, które każą zapominać o ciężkiej częstokroć doli człowieka. Tak jest! młode dziewczę całą swoją naturą oczyszcza i podnosi ducha.

Ale w domu rodzinnym to dziewczę żyje osamotnione, zamknięte samo w sobie, nie śmie się wynurzyć przed nikim. „Bo też, jak mówi Ruskin, sprzeciwianie się dobremu dziecku, stawianie oporu jego instynktom, odbija się na jego rysach charakterem niezmałalnym i odbiera jego spojrzeniu niewinną jasność i wdzięk mu właściwy.“ Młoda panienka zwykle bywa usuwana od tych domowych zwierzeń, poufnych rozmów, które z daleka słyszy, ale nie jest do zaufania przypuszczona.

Ona to odczuwa, staje się nieśmiałą, przymusza się do wesołości, ale na twarzy maluje się przymus. Ona potrzebuje szczerego, otwartego z sobą postępowania.

Zaufanie pomiędzy rodziną jest nieodzownym warunkiem ich szczęścia. Jakże pięknem, jak głębokim jest to uczucie zgody i jedności między ojcem, matką i dzieckiem. Zaufanie powstaje z wzajemności, trzeba umieć je wywołać; młode dziewczę łatwo tego dokaże. Ojciec ma zwykle minę surową i poważną, zajęty swymi interesami jest najczęściej milczący. To milczenie w konsekwencji oziębia uczucie. Wtenczas dziecko swymi pieszczotami, pytaniami, pocałunkami usuwa poważne myśli ojcowskie i zmusza go niejako do wesołości do rozmowy. Matka czeka tylko sposobności, aby przed córką nie mieć żadnych tajemnic. Jakże słodkim i radosnym jest dom, w którym panuje zaufanie rodzinne, gdzie dziecko nie lęka się swego ojca, lecz kocha go jak i matkę serdecznie.

Z zaufaniem powinna łączyć się swoboda. Tak jak kwiatom, tak samo młodej dziewczynie potrzebne jest swobodne powietrze. W domu rodzicielskim nie powinno jej go zabraknąć, powinna niem oddychać przy każdym zajęciu, czy to w rozmowie, czy w czytaniu, czy w swoich stosunkach, pozabawiać ją tego jest to przytłumiać najszlachetniejsze jej uczucia.

Radość powstaje z piękności. Są rozmaite gatunki piękności.

Jest piękność kształtów i linii: bywa twarz nieruchoma, zimna blada jak marmur.

Jest piękność niepokojąca, przewrotna która brakuje efronterę, roztaczając do koła fałsz i obłudę.

Jest inna piękność, jasna i czysta, przebija się ona w spojrzeniu, w ruchach, w gestach.

Wdzięk tej najwyższej piękności udoskonala się przez kształcenie duszy, jednakże i ciała nie należy zaniedbywać. Niech powaby duszy łączą się z powabami ciała. Ćwiczenia, gry, zabawy higieniczne, słowem powinno być użyte wszystko, co wzmacnia i ożywia krew i siły.

Radość wypływa ze szczęścia i jest tegoż kwiatem. Nie mówi się tu o tej spokojnej egzystencji, która zapewnia dniom niedbałe próżniactwo, nocom zaś miły sen. Nazywamy szczęściem stan duszy z tem usposobieniem, które zadawalnia się wszystkim.

Młode dziewczę osiągnęło to szczęście, ono nie zna tych filozofii, która przeklina życie, ono nie jest pesymistką. Żadne bolesne doświadczenie nie rozczarowało serduszka jeszcze, nie odebrało mu wiary, nadziei i miłości. Serce jest dobre, czułe miłosierne, nie zna co to zemsta, co ironia, co egoizm.

Kochać życie jest to szczególnie rzadki dar. Młoda dziewczyna idzie z wiarą w życie i powinna za-

chować zamiłowanie życia, nie poddając się przygnębieniom starości.

O dzieci, co jesteście szczęśliwe przez wiarę i ufność w waszą młodość, strzeżcie tej młodości, nie pozwólcie się jej zestarzeć.

Radość powstaje też z cnoty.

Niektórzy asceci i kaznodzieje protestancy przedstawiają cnotę w kolorach ciemnych i smutnych; podług nich trzeba odrzucić wszelką radość, aby udoskonalic serce. Precz z wesołością, precz ze śmiechem! zawsze i wszędzie niech panuje surowość i powaga...

Cnota, o której chcemy mówić, nie zasadza się na hypokryzji i fałszywej surowości. Nie, cnota jest tą władzą, tą siłą żywotną, przez którą jesteśmy panami naszych instynktów, naszych pragnień panami wypadków lub okoliczności; przez nią panujemy wszechwładnie nad naszą istotą wewnętrzną, a podbiwszy w pełni wolność naszego sumienia, kierujemy całe nasze życie ku najwyższemu celom: ku dobru i Bogu. Moralność konwencyonalna, drobne wypadki życia nie są niczem wobec cnoty w ten sposób pojętej.

W skrytości naszego życia wewnętrznego rozbudajmy aspiracje uspięne w duszy, odkrywajmy naszą istotę prawdziwą, nasze prawdziwe motory moralne. Znajdźmy sami w sobie tę moc, której nie brak żadnemu człowiekowi, ale którą ludzie najczęściej zapominają.

„Każdy człowiek miewa szlachetne myśli, które rodzą się w jego sercu, ale niestety! dziwi się temu i usuwa je jako natrętów. Chcąc, aby dusza nasza była stałą poważną, podobną do aniołów, nie dosyć jest widzieć wszechświat w cieniu śmierci lub wieczności, ani w świetle radości, ani w płomieniach światła i miłości.“

Nie wystarczy traf, trzeba przyzwyczajenia, trzeba nauki życia w piękności i powadze ciągłej.

W życiu, najpodlejsi ludzie czują, co jest piękne i dobre, ale te uczucia nie mają dość siły, aby je w czyn zamienić, a właśnie tę siłę niewidzialną powinniśmy w sobie wzmacniać.

Tę siłę nabędą tylko ci, którzy mają zwyczaj wznosić się jak najczęściej do wyżyn, z kąd jasno widać, że każdy czyn, każda myśl jest nieomylnie złączona z czemś wielkiem, z czemś nieśmiertelnem.

Próżne byłoby marzenie, gdybyśmy sądzili, że w ciszy gniazda rodzinnego, w czułości wzajemnej i wzajemnem przywiązaniu, unikniemy trosk, kłopotów i cierpień; zresztą szczęście bez walk i przeciwności wywoływałoby beczynność ducha.

Nie trzeba więc zrażać się przeciwnościami, ani upadać pod brzemieniem nieszczęść. Kobieta wtedy odgrywa wielką rolę pocieszycielki i miłosierdzem darzy cierpiących. Młode zaś dziewczę jest w nieszczęściu istotą słodką i kojącą rany, — dziecięciem czystem, które pociesza i napełnia nadzieją.

Z Cyklu „Dla niego“.

Gdy myśl, jak pieśń żalobna rwie duszę na strzępy i smutek, jak mgły ciemne, rozsuwa w przestrzeni, Czemu — pytam — ten pomrok smutku się nie zmieni, Czemu płakać mam ciągle i boleć wciąż muszę?

Czym za wiele uroków rzuciła wokoło?..

Czy za wiele uśmiechów dźwięczało piosnkami?..

Czym kochała za wiele, tęskniła za mało?

Że dziś tęsknię tak bardzo i żyję ze łzami...

Och! bo płaczę i cierpię: z tej ułudnej tęczy, Co się życiem nazywa i barwami mieni, Żadna dla mnie bez skargi struna nie zadźwięczy, Żadna radość bez smutku nie rzuca promieni.

Żadna? Oh! jam tą skargą zgrzeszyła serdecznie Przebacz, Boże litości, i nie karz mnie za nią: Kto raz serca drogiego mógł się nazwać pania. Ten Cię wielbić powinien, dzięki składać wiecznie.

Natalja Janowska.

KĘDY DROGA?

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dalszy ciąg).

— Jania z Natalką dzisiejszy dzień z pewnością spędzają razem, — odezwała się Jadwiga. — Smutno im biedaczkom...

Na to Hela rzekła ze zwykłą cierpkością:

— Nie mają czasu myśleć o tem, upewniam cię. Życie w Paryżu tyle mieści w sobie żywiołów, że pobyt tam nawet z musu nie jest bez powabu. A jeszcze dla Janiny takiej wesołej, chciwej zabaw... Przypuszczam, że więcej niżeli dyplom pociągało ją to właśnie, że będzie mogła bawić się, używać...

— Co też ty mówisz, Helo — zaprzeczyła Jadwiga.

A Cecylia dodała:

— O ile wiem, wcale poważne względy, kierowały wyjazdem Janiny. Zdaje mi się, Helo, że ty nawet na słońcu plamy byś znaleźć chciała. To brzydko.

Amelia przerwała sprzeczkę.

„Drogie moje — zaczęła czytać głośno — nie „rozwodzę się szeroko nad tem jaką przykrością „jest dla mnie, że myślą jedynie mogę być po- „między wami, bo gotowabym się rozpłakać. Sła- „bość ducha nie przystoi doktorowi filozofii, „wszak prawda? Doktor filozofii! Cóż wy na „to, moje drogie? Nie jest to już wprawdzie „rzeczą nową, że kobieta po godność taką „wybiegła, boć nam już coraz na świecie prze- „strzeniej; niemniej doznaję jakiegoś miłego „szmeru w okolicy serca, gdy pomyślę o chwili, „w której otrzymam dyplom. Niema w tem go- „rączkowem oczekiwaniu ani pychy grzesznej, „ani zarozumiałości lub fanfaronady. Jest tylko „pełne głębokiego zadowolenia uczucie, jedno- „czące się zawsze z myślą o zbawiennym wpły- „wie kobiet wykształconych tak na rodzinę i naj- „bliższe swoje otoczenie, jak i na te biedne, cie- „mne masy, którym światło nauki dotąd jest „niedostępne. Natalka, która gorące swe serce „lodowatą powłoką opancerzyła przeciw wszel- „kim wzruszeniom (wyborna metoda w obec na- „szych tutejszych warunków) rozgrzewa się je- „dnak, gdy gawędzimy poufnie o użytecznej i pra- „cowitej przyszłości jaka nas czeka.“

Hela wybuchnęła śmiechem.

— Szkoda, że się nie urodziły w czasach błędnych rycerzy... — mówi sarkastycznie. — Jakie to głowy poprzewracane. Panna Janina po powrocie z Paryża dyplom będzie nosiła na piersiach a Białecka — no, tej w pysze żadna lekarska znakomitość w Europie nie dorówna.

— Nie przerywaj, Helo, — upominała łagodnie Jadwiga.

„Jakżem nieskończenie wdzięczna mojej uko- „chanej matce, — czytała dalej Amelia, — że nie „sprzeciwiała się moim planom i pragnieniom, bo „pominawszy materyalne wyrachowanie, które „oczywiście miałam na celu, wybierając sobie ten „zawód, świat wiedzy jaki otworzył się przede- „mną oślepił mnie nie ledwie swoim bogactwem. „Wzniosła to rzecz — nauka; umieć się tylko do

„jej skarbów dobrać. Doprawdy, teraz dopiero czuję, że żyję, pomimo, że nie nęci mnie wcale „życie paryżkie, choć takim pełnem bije tentem. Sorbona stoi otworem dla wszystkich „chcących się czegoś nauczyć. Przytula chętnie „nawet takich rozbitków jak ja, która, wyznając ze „wstydem uciekałam szukać tam wewnętrznego „ukojenia. Przeczuję, że to co w porywie wy- „jątkowej szczerości napisałam, wywoła uśmiech „niedowierzania i zdziwienia. Hela, która ma- „rzyła zawsze o jakimś zaklętym rycerzu, Micha- „linka o ideale obdarzonym niespożytym zasobem moralnej, fizycznej i intelektualnej siły, „Cesia, co wzdychała do czystego związku dwóch „duchów pokrewnych posądza mnie bez wątpienia „o zawód sercowy, który w zaraniu życia—uży- „wając poetycznego zwrotu mowy—doprowadził „mnie nie do samobójstwa wprawdzie, lecz do „utorowania sobie samej drogi w życiu, co dla „niektórych głów wychodzi podobno na jedno. „Chcę kochać, potrzeba znaleźć istotę kochania „godną a znów wyjść za mąż byle mieć męża... „Cóż ty na to moje *credo*, Jadwiniu? Ty, ką- „piąca się w ożywczym źródle miłości, przejęta „pragnieniem przywiązania wszystkich młodych „dziewcząt do ogniska domowego, do kolebki „dzieci... Ale gdzie tu szukać takich panów Cze- „sławów, kiedy materializm praktyczny wyklucza „obecnie z szeregu uczuć ludzkich szlachetną „trwałą miłość, kiedy aspiranci do naszych serc „i rąk albo są młodymi, zużyłymi starcami, któ- „rzy wszystkie lepsze pierwiastki rozproszyli „gdzieś po świecie, albo żenią się dla pieniędzy, „aby z ich pomocą mózdz w pełni używać niedo- „stępnych dotąd uciech. Pięknie dziękuję. Wolę „ja mój dyplom i moją swobodę. Stokroć wolę. „Znalazłam tu nietylko spokój i równowagę, ale „i rozkosz prawdziwą. Jakże my tu mamy wy- „kłady, z jakim zapalem słucha się tej miodo- „płynnej wymowy profesorów, której czar i potę- „ga przykuwa niemal do ławek. Kurs filozofii, „literatury francuskiej odczyty o nowoczesnej li- „teraturze i poezji angielskiej, lekcje, konferen- „cje a wszystko tak interesujące i cenne, że „chciałoby się tylko słuchać i słuchać bez końca. „Kursa filozoficzne gromadzą dwa razy tygodnio- „wo śmietankę najwykwintniejszego towarzystwa „paryżkiego. Piękne, uroczne damy zbierają się „tu tłumnie, jak gdyby na jaki bal wspaniały. Ze „słiznami, poważnymi minkami słuchają wykla- „du, stenografują go nawet ołówkiem w elegan- „kich notesikach. Natałka śmieje się z tego. „Twierdzi, że to manja pozowania na uczoność „a w istocie rzeczy chęć zaprezentowania ładnych „twarzy i toalet. Tak moje drogie! jakkolwiek „dotąd jeszcze Paryż przytłacza mnie, a gorącz- „kowe jego życie nuży, wyznaję muszę, że znaj- „duję się tutaj umysłowe zaspokojenie wszyst- „kich potrzeb i zacheianek. Ożas jest tak wy- „pełniony a zestawienie dwóch tych rzadko w pa- „rze kroczących żywiołów: *utile dulci* sprawia roz- „kosz nieopisaną. Gdyby nie tęsknota, której „ani czas ani praca nad sobą pokonać nie mogą, „czułabym się spokojną i szczęśliwą. Takim jest „wpływ nauki i pewność, że się nie będzie tym „pionkiem niedołącznym, pchanym przez los w po- „łożenia często fatalne i smutne. To jest moja „idea przewodnią zapewniającą nam całość praw „człowieczych i tę pragnęłabym we wszystkich „kobietach zaszczerpić, a tymczasem wpajam ją „w umysły moich uczennic. Dobrze, serdecznie „dziewczątka kochają mnie i takie nauki cheiwe! „Ta pracująca klasa drobnego, brukowego że tak „się wyrażę przemysłu, nie ma czasu dozorować „swoich małych córek. Ztąd bezczynność i brak „opieki sprowadzają wiele na drogę występku. „A czyż można te nieszczęśliwe ofiary winić za „to? To też z rozkoszą prawdziwą wolne moje „chwile im poświęcam, nader rzadko wychodząc „z domu i jeszcze rzadziej, wyjawszyszy oczywiście „Natałkę, przyjmuję u siebie koleżanki, bo in- „nych znajomości nie mam.“

— A widzisz, Helu? — zawołała z tryumfem Cecylia.

Jadwiga miała wyraz rozrzewnienia na swojej różowej, zaciekawionej twarzy, ciemne oczy poły- skiwały łzami.

— Droga Jania! — szeptała. — Szlachetna, dobra Jania.

— Wielka rzecz! — zauważyła sucho Helena. — Prawdopodobnie w Paryżu na studentki nie zwraca- ją uwagi. Chybaby koledzy, jeśli która ładna i za- lotna... Ale oni równie prędko zakochują się jak i odkochują. Nawet wyjątkowa uroda jaką Ja- ninie przyznajecie, nie pomogłaby...

— Hela zaczyna mnie na dobre irytować, — wtrąciła zniecierpliwiona Bronisława. — Hela, — zwróciła się do koleżanki, — twoja piółunowa go- rycz wszystkich chłopców od ciebie odstraszy i zo- staniesz starą panną, zobaczysz!

Wtem Amelia spojrzała na Michalinę. Cóż jej się stało? Łkania wstrząsają całą postacią, a po mizernej twarzy płynie łzy...

— Michasiu smutek jakiś nurtuje, — szepnęła Ja- dwidze. — Przypatrz się, jak zmieniona. Trzebaby wybadać biedaczkę...

Była bardzo rozrzewniona i nie chcąc kończyć czytania listu, przy Michalinie usiadła.

— Co ci jest, Michasiu? — pyta kłiwie.

Michalina zwolna boleść opanowała.

— Nie zważaj, kochanie, — wyszeptała. — To tak przyjdzie niekiedy, nie wiadomo zkad. Ta Jania pocziwa rozrzewniła mnie; ale to nie są łzy, które bo- lą. Myślałam, że rozkoszą musi być prawdziwą posiadać swobodę czynu, być użyteczną i w uszcze- śliwianiu innych, zyskiwać samej szczęście. Nie ma wtedy czasu na rozmyślanie, na trawienie się zgry- zotą, na wybuchy żalu bezużyteczne.

— To przecież każdy osiąść może... — zauważy- ła Jadwiga.

Potrząsnęła głową przecząco.

— Zdaje ci się... Czyż ja naprzykład chociaż- bym chciała, mogłabym coś zdziałać? Pragnęłam zająć się dziećmi na wsi, mąż to nazwał próżną, stratą czasu; chciałam czytać, uczyć się jeszcze, usłyszałam, że i tak za wiele umiem, co mnie czyni nudną i suchą. Mąż mój nie uznaje potrzeby wy- kształcenia dla kobiety. Na tle jego pojęć wystę- puje ona zawsze jako niańka, zafukana, bez cienia samodzielności, spełniająca ślepo rozkazy swego władcy. Są tacy mężczyźni... kto wie nawet czy nie większa ich część...

— Czemu pozwoliłaś zawojować się? — spytała Bronisława. — Ze mną jest inaczej. Nie żądam nad- zwyczajności, ale co uważam za potrzebne, zawsze wykonam. Tylko trzeba system ten zaprowadzić z początku zaraz, żeby oni się nie spostrzegli, że nam ulegają.

— Nie zazdroszczę twemu mężowi, Bronieciu, — roześmiała się Helena. — Dość spojrzeć na ciebie aby wiedzieć, że przewaga w domu zawsze jest po twojej stronie.

— Oni tego potrzebują, moja droga, — odparła tamta wesoło. — Mój Karol pocziwy jak rzadko, ale ma też swoje bziki o, ma! A wtedy żona gdy tak- towna i łagodna lecz stanowcza, wpływu swego użyć musi.

— Nie chciałabym takiego męża, brzydziłabym się...

— El! to ci się tak zdaje, bo go nie masz... — żartowała Bronisława. — Nie pojmuję Miciu, jakże ty mogła pozwolić tak się zawojować. To nawet ubliża godności naszej...

Michalina uśmiechnęła się smętnie. Czy też ona, Bronisława ma jakieś pojęcie o tem, jacy bywają mężowie... Toż piekło istne stałoby się w domu, gdyby np. ona chciała wczem sprzeciwić się mężowi.

— Ja myślę, że to zależy od usposobienia, cha- rakteru człowieka — wyrzekła wreszcie. — Ja ze swo- im, nie mogłabym twojej metody próbować. Ener- giczny jest, uparty, cheiwy panowania w domu bezpodzielnego. Nie wniosłam mu posagu, ma- tem większe prawa...

Tu oburzyła się Bronisława.

— Posag i posag! Ciągłe wam ten wyraz wraca na usta. Czy to my nie nie wnosimy do tej spółki małżeńskiej? Boże drogi! jak gdyby można wyma- gać coś więcej od istoty, którą podoba się mężczy- znom słabą nazywać. Sliczna mi słabość! Niech- noby oni, ci siłacze sprobowali... Mój Karol kiedy powraca z biura, to mu się wydaje, że jest taki spracowany, taki zmęczony... A ja się wtedy śmieję i mówię mu: spytajno mnie, kochasiu com ja dziś zrobiła. Co to moje drogie przy tylu dzie-

ciach i funduszach skromnych... Człowiek się wszystkiego zaprzeć musi. Kiedy nam się to dwo- je ostatnich bliźniątek narodziło aż sobie westchnę- łam, a mój mąż posłyszawszy: — „wstydz się, — mówi — a choćby nam też Pan Bóg i dwanaścioro dał...“ Wierzę. Ale kto będzie karmił, kołysał, ubierał... czuwał, kiedy słabe, uczył gdy podro- sną?... Ja powiadam szczerze, że kobieta więcej dźwiga aniżeli zdolna nawet. Śmiać mi się chce jak ta Hela za mąż się gwałtownie wybiera, nie obliczywszy się ze swoimi siłami. Chyba, że mi- lionera złapie.

Helena westchnęła cichutko.

Milioner? Oczywiście; gdyby tylko ojciec miał trochę energii i sprytu. O! pewną jest, że przy swojej urodzie mogłaby zaimponować światu i tym przemądrzałym koleżankom.

Zebrała fałdy swojej eleganckiej sukni i wyszła do salonu, zkad po chwili ozwały się dźwięki forte- pianu sentymentalne, wpół ciche zgodne z usposo- bieniem dziewczyny rozmarzonej, tęskniącej do gwiazd i księżycy.

— A to dyssonans w naszym gronie ta niezno- śna Hela! — odezwała się Bronisława, wzruszając ra- mionami. — Oj matkę, matkę karcieć za takie wycho- wanie. Co taka dziewczyna pocnie w życiu? Zgi- nie bezbronna w walce samej z sobą, a szczęście jeszcze jeśli hańby uniknąć zdoła.

Przeszła się po pokoju wzburzona, Cecylia, pa- trzyła na nią z przyjemnością. Zachwycali ją buj- ne kształty i zdrowa, kwitnąca cera Bronisławy, pogodny blask oka i czoło gładkie a przecież ta ko- bieta przyznawała się, sama do pracy ciężkiej i wa- runków bytu skromnych.

— Takie trzeźwe, praktyczne natury jak ty, Bro- niu nie potrafiły by chyba być nieszczęśliwymi — rzekła.

— Oczywiście, — odparła tamta. — Jaby się z lo- sem wzięła za bary i pokazała mu kto silniejszy. Gdybyście wy wiedziały, moje drogie w jakich ja nieraz byłam okolicznościach!... Karol raptem ma 1,500 rubli rocznej w banku pensyi a wydatki przy tylu dzieciach są olbzymie.

Jadwiga prawie z przerażeniem spojrzała na nią. 1,500 rubli? Czyż to możliwe, aby można egzysto- wać, wychowywać dzieci...

— Bronieciu, czy ty nie żartujesz? — pyta.

Uśmiechnęła się Bronisława.

— A od czego te dwie ręce? — mówi, wyciągając przed siebie kształtne, choć spracowane dłonie. — Od czego wykształcenie, którego mi pocziwi rodzi- ce nie żalowali? Skoro się uspokoi moja dzieciar- nia i ułożę ich w łózkach i kołyskach, zabieram się do bardzo miłej pracy: tłumaczę z obcych języków powieści do pism bieżących, co mi dochód pewny przynosi. Szwaczka nie wiele też u mnie zarobi, bo wszystko w domu sama szyje, w ekonomii domo- wej dobra moja matka wywyczyła mi dosko- nale, więc jakoś to życie pcha się znośnie i — moje drogie, są na świecie jeszcze uboższe i nieszczęśli- wsze ode mnie.

Michalina słuchała jej z rozplamionym wzro- kiem.

— Gdybym to ja mogła znaleźć jakie zajęcie, jakiś punkt oparcia — szepnęła cicho.

Jadwiga ujęła ją za rękę.

— Powiedz nam wszystko, Miciu, proszę. Może znajdzie się sposób złagodzenia twoich cierpień. Bo że cierpisz, darmo byłoby ukrywać.

Michalina przygarnęła się do jej serca.

Jak ona dawno nie słyszała słów przyjaznych, słodkich... Nikt się o nią nie troszczy, nikt nie za- pyta... Od śmierci dziecka i matki, bo ojca straci- ła jeszcze w dzieciństwie, przerażająca pustka by- ła w około niej...

Więc teraz chciałaby mówić, a lęka się... Nie może przecież oskarżać męża, ale i życia takiego znieść nie może.

Amelia uprowadziła Cecylię i Bronisławę.

— Już tam Jadzia najprędzej da sobie z Micha- sią radę — rzekła. — W obec tylu słuchaczek trudno- by jej było mówić. Biedna kobieta.

Przeszły do salonu gdzie Helena coraz dziksze wygrywała melodye.

Przed obiadem powrócił p. Jedłowiecki z dzieć- mi. Jadwiga promieniała. Cherubinki istotnie zasłu- giwały na to miano i przedstawiły się gościom nad wyraz uroczco.

— Ja panią znam...—szczebiotała Izia wieszając się u szyi Cecylii. — Mama mi opowiadała, że pani nie ma ani papy ani mamy i zawsze jest smutna.

Cecylia uśmiechnęła się do dziecka.

— Teraz już nie jestem smutna, Izium... Przy-
patrz mi się...—rzekła.

Ciemno błękitne oczy Cecylii patrzyły w piękną
twarzyczkę dzieciny dziwnie słodkie i promienne.

— Czy będziesz mnie kochać Izium?

Dziewczynka przyglądała się jej uważnie.

— Pewno będę...—szepnęła po namyśle.—Wszak
i mama panią kocha...

Świeże usteczka dotknęły ręki Cecylii.

— Ty będziesz moją ciocią, dobrze? Pokażę ci
moje lalki...

— Izium,—zawołała Jadwiga.—Za rok pojedziesz
się uczyć do nowej cioci. Ciocia dużo ma u siebie
takich małych panienek.

— Czy bez mamusi i bez tatki? — spytało
dziecko.

— Oczywiście. Panienki przecież z rodzicami
na pensję nie jeżdżą...

Izia zamysliła się głęboko.

Wzrok jej spoczywał na twarzy Cecylii niezde-
cydowany, badawczy.

— Pojadę,—wyrzekła wreszcie tuląc się do Ce-
cylili z pieszczotą.

— Zbąłamuciła mi pani córkę, — odezwał się p.
Jedłowiecki.

Cecylia była uszczęśliwiona. W sercu jej szcze-
biot i pieszczota dziecka zbudziły nieznana dotąd
tęsknotę i pragnienie.

— Ach, jakże kobiety niektóre są szczęśliwe...—
myślała.—Jak taka drobna istotka życie umilić po-
trafi.

— Wiem, o czym rozmyślałaś teraz,—odezwała
się Michalina, dostrzegłszy chmurę na obliczu dzie-
wczyny.—Ale wierz mi, Cesi, bywają takie smutne
okoliczności w życiu, takie rozpaczliwe położenia,
że nawet nie pożąda się tych skarbów... O! bywa-
ją! — dokończyła z takim bólem, że oczy Cecylii
łzami nabiegły.

Wieczorem dnia tego, gdy się żegnały koleżanki,
Jadwiga wskazując na stojącą na uboczu Michali-
nę—szepnęła:

— Zostaje u mnie... Samotna jest i nikomu ra-
chunku zdawać nie potrzebuje z przyszłości swo-
jej... Najcięższa praca stokroć będzie jej zdrowszą,
niżli przebywanie w domu człowieka godnego po-
gardy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, d. 23 Lipca.

W ostatnich czasach najciekawszym wypadkiem
był popłoch wywołany zamachem,—a raczej tylko
czemś podobnym do zamachu na prezydenta Rzeczy-
pospolitej; a rzecz tak się miała: podczas uroczysto-
ści narodowej 14 lipca w chwili — gdy pochód za-
czynał się i świta prezydenta wjeżdżała w zagłębie-
nia Kaskady—pewien obłąkaniec—który od wielu
lat ściga na siebie uwagę rozmaitemi szaleństwami—
ośmielił się wystrzelić kilka razy na wiatr—
w kierunku wszakże gdzie znajdował się prezydent.
Wypadek naturalnie bez konsekwencji żadnych
i bez znaczenia — lecz na razie tłum tak oburzył
i po prostu rozżarł,—że gdyby nie energiczna in-
terwencja policji—nieszczęśliwy wariat przypła-
ciłby ten wybrzyk swój na miejscu śmiercią.

Wypadek ten wszakże nie nie ujął uroczystości
święta,—a tylko go niejako właśnie ożywił i—wię-
cej uczynił głośnie, więcej burzliwym. Jestto
uroczystość tego właśnie temperamentu. Przeważ-
nie też i co raz więcej pozostaje tylko ludowem—
w znaczeniu ludu klas niższych, ubogich i roboczych.
Bogactwo i dostatek unika tych wrażeń nadto
ostro—a za mało wyszukanie działających na nerwy.
Nigdy więcej jak podczas tego święta nie odznacza

się i nie ujawnia rzeczywisty, a coraz głębszy roz-
dział jaki jest pomiędzy klasą bogatych i ludu.

Smutna to ewentualność dla narodu, którego sa-
morząd, a raczej szczęśliwe tego samorządu wyniki
wymagają właśnie rozumnego zespolenia—choć nie
zrównania tych klas.

Dla tego też opinia ogólnie potępić powinna wy-
rażne owo izolowanie się „du quartier Riche,” nie-
obecność nie tylko znanych osobistości znacznie-
szych rodzi i przedstawicieli arystokracji jak pla-
tokracji —wśród orszaków uroczystego obchodu—
lecz nawet brak najmniejszych oznak świątecznych
i dekoracji choćby najskromniejszej na hotelach
i pałacach. Bardzo to złe wrażenie robi na lud, któ-
ry cierpliwie znosząc rozdział, jaki tworzą pomiędzy
niemi w życiu bogactwo i dostatek — oburza się
słusznie, gdy przedmioty jego czci i niejako religii
narodowej są obojętnie traktowane.

Do uroczystości i zapełnienia dnia przyczynił się
także przejazd wojsk w kompletnej paradzie—które-
mu przyglądał się Li-Hung-Tchang —i dyplomatycz-
ną swoją wymową prawil komplementa armii Fran-
cuzkiej że „nie ustępuje żadnej z najpierwszych”—
tak jak w Berlinie mówił o armii niemieckiej, że „jest
najpierwszą w świecie.”

Izba Deputowanych oprócz trudnych i zawi-
łych, a dość burzliwie głosowanych poprawek nad
prawem podatku od budowl — zajmowała się kwe-
stją Madagaskaru.

Senat po krótkich naradach przyjął fakt anekeyi
tej wielkiej i interesującej Afrykańskiej wyspy.

Pan André Lebon wykazał, że położenie poli-
tyczne — jakkolwiek połączone dotąd z pewnemi
zamięszaniami i nieco jeszcze niespokojne, jest
wszakże na stałych podstawach silnego wpływu
francuzkiej okupacji, — a zamorski nader małych
znaczeń. Czasowo terytorya poddana ostremu sta-
nowi wojennemu i pozycje wojskowe w stanie
jaki zwykłym jest podczas oblężenia.

Ogłoszony został w „Journal officiel” ministe-
ryalny okólnik, regulujący kwestję stosunków stu-
dentów medycyny cudzoziemców. Nowe rozpo-
rządzenie podzieliło ich na dwie kategorie—tych,
co mają zamiar praktykować we Francji obowią-
zują egzaminy na zdobycie bakalaureatu francuskie-
go—i tych którzy zdobywszy doktorski dyplom bez
owych egzaminów nie będą wszakże uprawnieni do
praktyki lekarskiej w granicach Francji.

Rozeszła się tutaj po cichu nader sensacyjna wi-
adość iż b. cesarzowa Eugenia postanowiła publicz-
nie ogłosić następcą i dziedzicem praw napoleońskich,
syna księcia Ludwika Napoleona, tragicznie w Afry-
ce zamordowanego. Księżę Loulou przed wyjaz-
dem do Afryki ożenił się podobno potajemnie
w Londynie, a owocem tego związku jest syn wy-
chowujący się w Paryżu, o czym wie cesarzowa
i kilka osób z jej najbliższego otoczenia.

Inny pretendent do tronu francuskiego księżę Fi-
lip Orleański także przedmiotem zaciekawienia z po-
vodu zapowiedzi jego małżeństwa z arcyksiężniczką
austriacką Maryą-Dorotą Amelią, córką arcy-
księcia Józefa-Karola-Ludwika.

Młoda księżniczka jest po babce daleką kuzynką
przyszłego małżonka, ma lat 29 jest piękną i nie-
zmiernie bogatą.

Księżę Henryk Orleański ma również zaślubić
niebawem jedną z pięknych paryżanek, córkę bar-
dzo bogatego, francuskiego przemysłowca.

Zaraz po festynie 14 Lipca wyruszył prezydent
do Reims, na uroczystość odsłonięcia pomnika
Joanny d'Arc wzniesionego ze składek publicznych.

Pomnik rzeczywiście piękny jest dziełem rzeźbia-
rza Pawła Dubois, który też za to został nagrodzo-
ny wstążeczką legii honorowej. Tłumy ludu
i wyższych urzędników asystowały całej uroczy-
stości.

Wdowa po Leonie Delibes'ie znakomitym muzy-
ku i kompozytorze francuskim zakłada na przedmie-
ściu Clichy, przytułek dla małych dzieci do lat 5-ciu.
Biedni rodzice zmuszeni chwilowo, lub też na czas
dłuższy opuścić swoje dzieci, będą mogli umiesz-
czać w przytułku dzieci i w każdej chwili je odbie-
rać. Ta nader pożyteczna instytucja będzie nosiła
imię sławnego kompozytora.

Chorego maniaka, czy też wielkiego filozofa,
schwyłali w tych dniach strażnicy na nocnem polo-
waniu i odstawili do policji. Jest nim niejaki Be-
noit, inteligentny młody, bo zaledwie 38 lat liczący

obywatel nadsekwankiej stolicy. Aresztowany
pod zarzutem włóczęgostwa, odpowiada, że ma
6,000 fr. rocznego dochodu, że nikomu krzywdy nie
wyrządza, jest spokojny, bo nie pija żadnych trun-
ków, a awantur publicznych unika. Mając pienią-
dze żywi się i odziewa jak mu przyjdzie fantazyja,
woli zaś mieszkać pod jakim mostem lub w lesie,
jak w czterech ścianach domu, gdzie po prostu się
dusi.

Policja z łatwością sprawdziła wiarygodność po-
wyższego opowiadania i wypuściła na wolność za-
ciekawiającego oryginała.

Zwłoki markiza de Morés'a zamordowanego
w Afryce podróżnika przywieziono przez Marsylię
do Paryża, a wspaniały pogrzeb odbył się 19 Lipca.

Mowa wygłoszona na cmentarzu przez Drumont'a
wywołała prawdziwą demonstracją antysemit-
styczną.

Tłumy wszelkich warstw społecznych asystowa-
ły pochowaniu zwłok śmiałego podróżnika. Prezy-
dent Rzeczypospolitej wysłał też na pogrzeb swego
reprezentanta.

Składki na pomnik markiza płyną obficie. Z te-
go powodu Henryk książę Orleański podobnie znany
z zamiłowania do dalekich podróży, podał pro-
jekt, aby za pomocą składek wnieść zbiorowy pom-
nik i dla innych śmiałych podróżników, zamordo-
wanych w dalekich krajach podczas niebezpiecz-
nych, a pożytecznych wypraw. Projekt ten rzeczy-
wiście chwalebny doznał przychylnego przyjęcia
i zapewne niezadługo zostanie w czyn przeprowa-
dzony.

Ze śmiercią markiza de Morés'a chiromaneya
nie przestaje budzić ogólnego zainteresowania.

Krążą też na ten temat różne zabawne anegdotki,
z których jedną z dowcipniejszych opisuję.

Pani X mówi do swej pokojówki.

— Róziu! Spotkało mnie wielkie nieszczęście!

— Co takiego proszę pani?

— Chodziłam się radzić chiromantki.

— To i co z tego?

Pani X, rzucając się z płaczem w objęcia Rózi:

— Moje dziecko, jestem zgubiona!

— Jakto?

— No tak jest, powtarzam ci: nie ma dla mnie
ratunku!

— To straszne! Ale jeszcze nie nie rozumiem.

Śmiem jednak zapytać, co pani zapłaciła.

— Czterdzieści franków.

— I za taką sumę dano złą przepowiednię?

— To nie są żarty moja Róziu! Żebyś wiedziała
z jaką poważną i straszną miną, ta kobieta do mnie
mówiła...

— Co mówiła proszę pani?

— Powiedziała, że nie dożyję trzydziestu lat!

— Ależ proszę pani!

— Tak, tak, moje dziecko mam już tylko dwa

lata żyć na tym świecie. Płakałam okrutnie, ale
przynajmniej jestem uprzedzona, co mnie spotkać
może, więc postaram się użytecznie spędzić te la-
ta, aby...

Pokojówka przerywając.

— Niech się pani raczy uspokoić.

— Łatwo ci to powiedzieć.

— Ależ pani zapomina...

— Co zapominam?...

— To że już od sześciu lat skończyła pani lat
trzydzieści!

Zdaje się że komentarzy nie potrzeba, a jednak
wiele osób z całą wiarą podlega nieraz bałamutnym
przepowiedniom. Moda i tu robi swoje.

Do rzędu śmiałych podróżników zaliczyć trzeba
młodego algierczyka p. Gerwazego Courtellemont,
który przebrany za araba, odbył pielgrzymkę do
Mekki pośród prawowiernych wyznawców proroka.
Pielgrzymka taka w razie odkrycia fałszywego wy-
znawcy groziła niechybną śmiercią, gdyż nikt jesz-
cze z chrześcian nie oglądał wszystkich tajemnic
Mekki, i nie widział świętego kamienia Kaaby. Pan
Courtellemont nie tylko, że był świadkiem wszyst-
kich religijnych ceremonii, ale potrafił nawet zdjąć
je na miejscu za pomocą przyrządu fotograficznego.

Rzeczywistej odwagi i śmiałości nie można od-
mówić dzielnemu podróżnikowi.

W ogóle coraz większy prąd pcha tutaj ku wy-
cieczkom francuzów, po za granice rodzinnego kra-
ju, czemu dotychczas niejako się opierali.

Petit Journal ogłosił niedawno kilka stypendyów dla podróżników, przeznaczonych dla najlepszych uczniów francuskich szkół średnich.

Każde stypendyum ma wynosić po 500 franków; redakeya zaś wzamian żąda tylko od obdarzonych małych sprawozdań z odbytych podróży.

Pomysł nader szczęśliwy, wywołał tutaj ogromną uciechę w kółku uczącej się młodzieży.

Siedemnastego Lipca umarł tu słynny pisarz francuski Edmund Goncourt, brat Juliusza zmarłego przed dwudziestoma kilkoma laty, a również znakomitego pisarza.

Obadwaj słynęli jako założyciele realistycznej szkoły francuskich romansopisarzy. Edmund Goncourt urodzony w 1822 roku w Nancy, został zparaliżowany w chwili, gdy bawił u swego ucznia i przyjaciela Alfonsa Daudeta.

Pogrzeb odbył się 20 Lipca przy współudziale całego artystycznego i literackiego świata. Zwłoki zostały złożone w grobie rodzinnym na cmentarzu Montmartre. Emil Zola w pięknych i wymownych słowach oddał swemu mistrzowi cześć ostatnią.

Z rzeczy niewydanych pozostawił Goncourt jedną sztukę teatralną i rękopis własnych pamiętników, które jednakże dopiero po 20 latach zostaną wydrukowane. Przez ten czas zostały złożone w bibliotece narodowej, gdyż taka było wola zmarłego. Obecnie wyszły kilka tomów pamiętnika, są tylko pobieżnie skreślonemi urywkami.

Zmarli bracia obydważy byli zapalonymi kolekcjonistami, i zbiory ich słusznie można nazwać najpiękniejszymi we Francji. Szczególniej zbiory artystyczne z XVIII wieku i sztuka japońska ważne w nich zajmują miejsce. Składają się one z przepysznych malowideł, rysunków, akwarel, starożytnych dzieł sztuki, gobelinów, makat, jedwabów, japońskiej porcelany zgromadzone w ładnym pałacyku w Auteuil. Zbiory te i cały majątek przeznaczone zostały na utworzenie wieczystego kapitału potrzebnego do założenia nowej akademii, opartej na zasadach nigdzie jeszcze dokąd nie stosowanych. Nowa ta instytucja będzie nosiła nazwę akademii goncourtowskiej.

Pierwszych akademików naznaczył sam Goncourt w testamentcie; są nimi następujący pisarze: Alfons Daudet, Oktawiusz Mirbeau, Gustaw Geffroy, Paweł Margueritte, Leon Hennique, I. K. Huysmans, profesor Sorbony Rosny i syn jego, znany autor „Vamireh”. Akademików powinno być dziesięciu—wybór nowych pozostaje do uznania odbytego głosowania—mają oni co rocznie przysądzać nagrodę 5,000 fr. za najlepszy romans lub inny utwór literacki prozą napisany, przez literata nie należącego do grona akademii.

Oprócz tego każdy z akademików ma pobierać tytułem pensji 10,000 fr. rocznie. Jak widzimy zatem musiał zmarły pisarz pozostawić bajeczną fortunę, aby odsetki od niej mogły wynosić tak poważną sumę jaką stanowią pensje akademików i wyznaczona nagroda.

Goncourtowie wraz z Flaubertem, Zolą i Alfonsem Daudetem stanowią przedstawicieli naturalizmu w literaturze francuskiej. Przedewszystkiem jednak, to dwaj zmarli bracia nadali początek i kierunek realistycznej literaturze, nie tylko we własnym kraju, ale i całemu światu literackiemu. Z tego powodu można też ich śmiało nazwać rewolucjonistami w sztuce, co też właśnie o nich Flaubert powiedział. Styl Goncourt'ów był nadzwyczajnie obrazowy i giętki, do złudzenia wywołujący obrazy prawdziwe. Jako znakomici znawcy serca ludzkiego, malowali człowieka z nadzwyczajną rzetelnością i prawdą. Oprócz wielu doskonałych powieści, wydali Goncourt'owie kilka studyów czysto naukowych, oraz wspólnych drobniejszych prac z dziedziny krytyki lub historii sztuki. Obaj bracia po skończeniu postanowili pracować razem, i po pewnych usiłowaniach wytworzyli umysły tak do siebie bliźniaczo podobne, że mówiąc o jednym, mówi się zarazem i sądzi obydwoh, gdyż jeden był połową duszy drugiego.

C. H.

WIĄDOMOŚCI

Z HYGIENY I MEDYCyny POPULARNEJ.

O ODŻYWIANIU

przez

D-ra Stanisława Kamińskiego.

(Dalszy ciąg).

Z tego powodu zwykle staramy się zastąpić pewną ilość białka w pożywieniu przez pokarmy z trzech następnych grup. Dla tego też o ilości białka w pożywieniu mówić będziemy wtedy, gdy rozważymy znaczenie odżywcze dwóch następnych grup pokarmów.

4) Substancje klejodajne, stanowią około 6% na wagę w organizmie. Znajdują się one we wszystkich tkankach ustroju. Znaczenie substancji klejodajnych w pożywieniu sprowadza się do tego, że mogą one zastępować białko: sto gramów kleju może zastąpić około 36 gram, białka, co odpowiada 170 gram, mięsa. Klej bardzo łatwo w organizmie ulega strawieniu i rozpadowi, tak że nie wchodzi on zupełnie w skład tkanek i substancje klejodajne w ciele człowieka wytwarzają się z białka a nie z substancji klejodajnej.

Najlepszym tego dowodem są dzieci i zwierzęta ssące, w których pożywieniu nie ma wcale substancji klejodajnej, a jednak w ciele ssących wytwarzają się w wielkiej ilości chrząstki, tkanki łączne, kości i t. d.

Niemniej przeto znaczenie substancji klejodajnych jest ogromne przez to, że oszczędzają one spożycie białka, które jest drogie i przy tem w wielkiej ilości mało strawne.

Dla tego też klej stanowi bardzo ważną składową część pożywienia zarówno zdrowych jak i chorych. Nie trzeba jednak pod tym względem wpadać w ostateczność jakiej ulegli przed kilkudziesięciu laty lekarze i filantropowie, gdy pierwsi karmili chorych gorączkowych jedynie klejem, a drudzy rozdawali ubogim wyłącznie tak zwaną zupełną rumfordzką. Przy takim pożywieniu traci organizm zawsze pewną ilość białka, wprawdzie mniejszą niż przy zupełnem pozbawieniu pokarmu, ale zawsze wystarczającą do tego, aby z czasem nastąpiło zupełne wyniszczenie ustroju. Substancje te mają jeszcze jedną złą stronę jako pożywienie, że są niesmaczne i dlatego w większej ilości spożywane być nie mogą.

5) Tłuszcze jest to jedyny składnik ustroju, ilość którego ulega znacznym wahaniom jakieśmy to wyżej widzieli. Tłuszcze w pożywieniu mają z jednej strony to samo znaczenie co klej, t. j. że oszczędzają spożycie białka, z drugiej—służą one do budowy tkanki tłuszczowej ustroju. Ztąd najlepszym sposobem powiększenia tkanki tłuszczowej w organizmie jest podawanie w pożywieniu wielkiej ilości tłuszczu.

Ponieważ względna obfitość tkanki tłuszczowej jest rzeczą dla ustroju bardzo pożyteczną, gdyż ochrania organizm od zbytnej utraty ciepła więc słusznie uważa się pożywienie ubogie w tłuszcz za pożywienie złe i niedostateczne. Lecz oprócz zapobieżenia utracie ciepła tłuszcz ma jeszcze ważne znaczenie dla wytwarzania tego ostatniego w ustroju, gdyż, jakieśmy to już widzieli, spalanie tłuszczu w ustroju daje daleko więcej ciepła, niż spalanie węglowodanów i innych pokarmów. Dlatego też w zimie spożywamy daleko chętniej pokarmy tłuste aniżeli w lecie. Co się tyczy znaczenia odżywczego tłuszczu to 100 gram, tłuszczu odpowiada 225 gramom białka. Człowiek spożywający dziennie 118 gram, białka i 260 gram, tłuszczu nie tylko nie traci białka w ustroju lecz jeszcze powiększa się ilość jego tkanki tłuszczowej. Pamiętać jednak należy, że przy spożywaniu wyłącznie tłuszczu organizm traci białko ze swych tkanek.

6) Węglowodany mają to samo znaczenie odżywcze co tłuszcze t. j. oszczędzają białko i przytem w znaczniejszym daleko stopniu aniżeli tłuszcze.

Przy tym węglowodany oszczędzają również tłuszcz w ustroju lecz dla uniknięcia rozpadu tego ostatniego, spożywać należy większe ilości węglowodanów aniżeli tłuszczu. 100 gram tłuszczu odpowiada pod tym względem 240 gr. węglowodanów.

Z powyższego doszliśmy do przekonania, że z trzech głównych grup pokarmów: białka, tłuszczu i węglowodanów dwie pierwsze służą do odbudowy tkanek, przyczem białko nie może być zastąpionem przez żadną inną substancję; ilość jednak w pokarmach może być sprowadzoną do minimum przez podawanie równoczesne tłuszczów lub węglowodanów. Te ostatnie są prawie różnoidalne, jako pokarmy w tem mianowicie znaczeniu, że węglowodany mogą zastępować tłuszcze, ochraniając organizm zarówno od utraty białka, jak i tłuszczu.

Obecnie zastanówię nam się wypada nad tak zwaną racją dzienną człowieka t. j. ilością białka, węglowodanów i tłuszczu jakie spożywać powinien dla utrzymania równowagi w przemianie materii. Równowagą zaś w przemianie materii u człowieka dorosłego nazywamy, stan taki w którym ilość spożytych substancji pokarmowych na wagę równa się ilości produktów przemiany materii wydzielanych z ustroju przez nerki, skórę i płuca. Gdy organizm jest w równowadze przemiany materii, wtedy ani traci ani zyskuje na wadze. Przy oznaczaniu tej racji dziennej powinniśmy się kierować z jednej strony tem, aby ilości spożywanych pokarmów były możliwie najmniejsze i aby ilość białka spożywanego była także możliwie najmniejszą, a to zarówno ze względów higienicznych jak i oszczędnościowych. Spożywanie nadmiernej ilości pokarmów obciąża bardzo silnie organy trawienia, upośledza ich czynność, sprowadza pewną ociężałość organizmu, co jest rzeczą powszechnie wiadomą i wyrażoną zostało w przysłowiu łacińskim „pełny brzuch nie pracuje chętnie.” Spożywanie nadmiernej ilości białka jest już chociażby dlatego niezdrowem, że białko w pokarmach znajduje się w ilości niewielkiej i dlatego trzeba by spożywać w ogromnej ilości pokarmy mięsne, owoce strączkowe i t. p. aby utrzymać organizm w równowadze białkowej przy podawaniu wyłącznie białka.

Pod względem oszczędnościowym jasną jest rzeczą, że zarówno spożywanie nadmiernych ilości pokarmów jak i przewaga w pokarmach białka jest rzeczą bardzo kosztowną, gdyż wiadomo, że białko zawartem jest w pokarmach najdroższych bo głównie w mięsie; owoce strączkowe, chociaż względnie tańsze, nie mogą zastąpić go pod tym względem, gdyż są niestrawne, a przytem z powodu niesmaku jaki wywołują spożywane być nie mogą w większej ilości.

— Wracając więc do oznaczenia racji dziennej człowieka dorosłego zdawałoby się najprostszą rzeczą racje te oznaczyć na zasadzie strat, jakie organizm ponosi przy zupełnem pozbawieniu pokarmów, czyli głodzeniu się. Okazało się jednak, że gdy człowiek dostaje pokarm, to traci daleko więcej białka i tłuszczu, aniżeli podczas głodu, tak że ilości tych pokarmów muszą być większe aniżeli, te które traci on przy pozbawieniu pożywienia. Fakt ten jest jednym z dowodów przeciwko czysto mechanicznej teorii życia, gdyż widzimy, że nawet czynności tak dalece nieświadome jak przemiana materii w ustroju, odbywają się z uwzględnieniem potrzeb organizmu i mają zawsze na celu utrzymanie życia tegoż. Nie będziemy się zastanawiać bliżej nad metodami, przy pomocy których dochodzi się do oznaczenia racji dziennej człowieka dorosłego, powiemy tylko, że ostatecznym wynikiem badań przy pomocy różnych metod, jest oznaczenie tej racji dla człowieka pracującego umiarkowanie, na:

100 gram, białka,

56 gram, tłuszczu i

400 do 450 gram, węglowodanów.

Chociaż, jak tego dowiodły nowsze poszukiwania, praca mięśniowa odbywa się głównie na koszt substancji bezazotowych ustroju, a więc tłuszczu i węglowodanów (glikogenu) to jednak przy pracy ciężkiej fizycznej powiększyć się musi nie tylko ilość spożywanych węglowodanów i tłuszczu lecz także i ilość białka w pokarmach, a to dlatego, że ciężko pracujące mięśnie powiększają swoją objętość i dla odnowy swej tkanki składającej się przeważnie

z białka potrzebują większej ilości białka w pożywieniu.

Dlatego też racje codzienne człowieka pracującego oznaczyć należy na:

- 120 do 130 gram. białka,
- 100 gram. tłuszczu i
- 500 gram. węglowodanów.

Organizm rosnący potrzebuje daleko większej stosunkowo ilości pokarmów niż organizm dorosły, gdyż oprócz utrzymania równowagi w przemianie materii, musi on pewną ilość substancji pokarmowych zatrzymywać w swym ciele dla powiększenia objętości tkanek. Z tego powodu zwłaszcza ilość białka w pokarmie dzieci musi być znacznie większą stosunkowo od ilości tegoż w pożywieniu dorosłych.

Tak dzieci do sześciu lat życia spożywają dwa do trzech razy więcej białka aniżeli dorośli.

Również ilość białka w pożywieniu karmiących kobiet powinna być większa, a to dlatego, że wydzielanie się mleka zależy od rozpadu komórek gruczołu mlekowego i do odnowy tych komórek tylko białko przyczynić się może.

Z kolei zastanowić się nam wypada nad różnymi gatunkami pokarmów takich jakie znajdują się one w przyrodzie, gdyż jak wiadomo organizm nie spożywa nigdy chemicznie czystych białka, tłuszczu i węglowodanów tylko rozmaite pokarmy, których te główne grupy pokarmowe znajdują się w większej lub mniejszej ilości pomieszane ze sobą, a także z różnymi innymi substancjami, które bynajmniej pożywnymi nie są. Pokarmy w ogóle podzielić można na 2 wielkie działy mianowicie: pokarmy zwierzęce i roślinne:

A) Pokarmy zwierzęce.

1) Mleko i jego produkty.

Mleko jestto jedyny pokarm pełny t. j. taki, który nie tylko zawiera wszystkie grupy pokarmów potrzebne do odżywiania, a mianowicie: wodę, sole, białko węglowodany, (w postaci cukru) i tłuszcz, lecz nawet zawiera je w tym stosunku, w jakim występować one winny w pożywieniu t. j. że na jedną część białka wypada cztery części węglowodanów i tłuszczu. Dlatego też mleko może służyć jako wyłączny pokarm dzieci w pierwszym roku życia. Stosuje się to jednak tylko do mleka kobiecego, gdyż mleko krowie ma cokolwiek inny skład jak mleko kobiece i przy tym jest ono mniej strawnym, t. j., że mniej jego składowych części ulega wassaniu w kanale pokarmowym. Dla człowieka dorosłego mleko nie może służyć za wyłączny pokarm, gdyż naprzód musiałby go człowiek dorosły spożywać w ogromnej ilości (przeszło trzy kwarty dziennie), a po wtóre, że rzadko który człowiek dorosły znosi większe ilości mleka w pożywieniu.

Przy dyjcie wyłącznie mlecznej wkrótce zjawiają się rozvolnienia i niechęć do spożywania tego pokarmu. Mleko ma jeszcze jedną złą stronę, jako pokarm t. j., że się łatwo psuje, a mianowicie kwasnieje.

Przy tem w mleku krowim znajduje się laseczniki grzeli (suchot) z tego powodu najwłaściwszą jest rzeczą używać mleka tylko przegotowanego.

Z produktów mlecznych najważniejszymi są: masło i ser. Masło zawiera ze wszystkich pokarmów zwierzęcych najwięcej tłuszczu, bo od 80 do 90%. Tłuszcz masła jest przytem daleko strawniejszym od wielu innych tłuszczów zwierzęcych jako to: słoniny, smalcu i t. d., przytem jest ono w smaku przyjemniejszym od wielu innych tłuszczów. Dlatego to masło jest najodpowiedniejszą i najdroższą przyprawą do potraw. Złą stroną masła jest to, że się dość prędko psuje, czyli, jak mówią, jeleżeje w skutek przemiany w niem tłuszczu na kwasy tłuszczowe. W celu zapobieżenia psuciu się masła trzymają je w zimnym miejscu, solą topią i t. p.

Oprócz masła z mleka otrzymujemy jeszcze ser, który zawiera dość znacznej ilości tłuszczu (od 8 do 30%) i największą, (bo od 27 do 32%) ze wszystkich pokarmów zwierzęcych ilość białka. Ze względu na swą tanią służyć może za bardzo ważne pożywienie klas uboższych tem więcej, że jest dosyć łatwo strawnym. Gatunków sera jest ogromna ilość; główna pożywna różnica tych gatunków sprowadza się do tego czy zawierają one dużą czy małą ilość tłuszczu.

2) Mięso.

Pod nazwą mięsa rozumiemy mięśnie (muskły) rozmaitych zwierząt zarówno swojskich jak i dzi-

kich należących do rodziny przeżuwających, gryzoniów i gruboskórnych, a także ptaków, ryb i t. d. Mięso pozbawione tłuszczu, którego ilość jest w niem bardzo zmienna, zawiera 75% wody 20% białka i kleju i około 1% tłuszczu. Im zwierzę jest bardziej utuczonym tem mięso jego zawiera mniej białka, a więcej tłuszczu. Pod względem zawartości białka mięso zajmuje drugie miejsce po serze z pokarmów zwierzęcych.

Przytem ze względu na różnorodność gatunków mięsa, na odmienny ich smak na łatwą strawność, jest ono najodpowiedniejszym dla dostarczenia organizmowi białka, choć ze względu na swą wysoką cenę nie może być ono uważane za odpowiedni pokarm dla klas uboższych. Oprócz białka i tłuszczu zawiera mięso jeszcze nieznaczną ilość substancji wyciągowych. Te ostatnie nadają różnym gatunkom mięsa właściwy im smak.

(Dokończenie nastąpi).

SIOSTRY NAPOLEONA.

Eliza Baciocchi.

Księżna Giombino i Lukki; Wielka Księżna Toskańska.

(1777—1820).

(Dalszy ciąg).

Jak wszystkie prawie dzieci Karola Bonaparte'go, Marya-Anna urodziła się w Ajaccio, (d. 3 Stycznia 1777 r.). Imię powyższe, nadane na chrzcie świętym i zapisane do ksiąg ludności, służyło jej przez dzieciństwo, młodość całą oraz znaczną część życia. Dopiero gdy karyera brata generała zaczęła coraz świetniej się zapowiadać, gdy gwiazda Napoleona narzuciła całą jego rodzinę uwadze Europy, Marya-Anna uznała, iż nie wypada jej nosić tak pospolitego miana i zamieniła je na dystyngowane w swym pojęciu, imię Elizy.

Z dzieciństwa jej, puszczanego samopas a urozmaicanego częstymi karami cielesnymi, przytacza Józef Turquan następującą charakterystyczną anegdotę.

Pani Bonaparte otrzymała raz od wuja swego, kanonika, koszyk fig i winogron. Dar, pochodzący od duchownej osoby, miał w oczach tej pobożnej, prostodusznej kobiety, pewną cechę świętości. Koszyk zaciekał Maryę-Annę; zakradła się więc, wraz z jedną ze swych przyjaciółek, w celu obejrzenia jego zawartości. Fig było niewiele, winogrona uśmiechały się złotawym połyskiem; dziewczynki więc zaczęły próbować i... i wkrótce nie nie zostało. Przestraszone śmiałym czynem—uciekły; po chwili zaś, do opuszczonego przez nie pokoju wszedł, na swoje nieszczęście, Napoleon i, uderzony wywołaniem spustoszeniem, zatrzymał się przy koszyku.

Tego tylko trzeba było dla mamy Letycyi, która nadeszła z drugiej strony.

— Gdzie się podziały owoce, które przysłał *il zio canonico*?— spytała groźnie.

Owoce? On nawet nie słyszał o nich. Tak?... Sprawiedliwość wymierzano szybko w tym domu. W jednym więc mgnieniu oka ustąpiły ochronne guziki, (ubrania bowiem oszczędzano przy takich operacjach) i, przyszły mocarz tronów, obnażony do naga, poznał, że figi rosną dla uprzywilejowanych tylko. Równocześnie, matka skarała go za łakomstwo, na trzy dni zamknięcia o chlebie i wodzie.

Marya-Anna ani drgnęła. Pozwoliła aby brat zniósł plagi srogie, by przez trzy doby karany był głodem,—za jej łakomstwo! Napoleon, który domyślał się prawdy, milczał również, by nie oskarżać siostry. Miała wszakże prawda ta, wyjść sama, jak oliwa na wierzch.

Mała przyjaciółka Maryanny, jak ją z francuzk Turquan nazywa, nadbiegła bowiem wkrótce i, w naiwności swej, zwróciła się do pani Letycyi z zapytaniem, czy czasem wuj kanonik nie przysłał znów, takich dobrych jak wówczas owoców? Po nitce dostano się do kłębka; dziewczynka zaś przekonała się, że razy, odłożone na później, niemniej dotkliwie bołą.

Anegdota ta jednak, doskonale tłumaczy stosunek jej do brata. Wyzyskiwała ona szlachetne przywiązanie Napoleona, wszędzie i zawsze, do końca jego kariery politycznej.

Napoleon, który umiał znieść tak stoicznie karę, przeznaczoną dla winnej, zapamiętał jednak egoizm jej i przypominał jej sam zdarzenie powyższe, gdy jako pani Eliza Baciocchi, wydawała dla niego zabawę, w 1801 r. w zamku Neuilly, gdzie przebywała u brata swego Lucyana, podówczas ministra spraw wewnętrznych.

Po długich i mozolnych staraniach, udało się panu Buonaparte umieścić Maryannę, jedyną z trzech swych córek na koszt rządu w szkole, w Saint-Cyr. Było to zdarzenie pierwszorzędnej wagi, zarówno dla niej jak dla całej rodziny. W domu, ubywały jedne usta do karmienia co przy panujących tam warunkach niemałą stanowiło ulgę; dziewczynka zaś, mogła liczyć na jakieś takie wykształcenie, którego siostry jej wcale nie otrzymały. Przytem umieszczenie Maryanny w Saint Cyr, równało się zapewnieniu jej przyszłości; panienki bowiem, wychodzące z tamtąd, otrzymywały wypłatę i trzy tysiące franków posagu; przyczem wypłacano im jeszcze, na koszt powrotu po liwre na każdą milę, mającej się odbyć drogi; co, przy znacznym oddaleniu Korsyki od Saint-Cyr, mogło utworzyć sumkę nie do odrzucenia.

Pomimo szerokiej sławy, jakiej używała ówczesnie szkoła w Saint-Cyr *), Maryanna, opuściwszy ją, ani nauką, ani zasadami swemi nie przynosiła zakładowi zaszczytu.

Gdy podczas rewolucyi, Zgromadzenie narodowe postanowiło, ewakuację królewskiego domu wychowawczego w Saint-Cyr, co równało się rozpędzeniu uczennic, Napoleon, mianowany już kapitanem i wybierający się podówczas do Korsyki, postanowił zabrać z sobą siostrę, która, wobec zamknięcia szkoły, mogła się znaleźć nagle na bruku Paryża, wśród niebezpieczeństw rozkiełznanej wojny domowej, samotna i wszelkiej pozbawiona opieki.

Do wypuszczenia panny Maryanny de Bonaparte ze szkoły w Saint-Cyr, potrzebne było upoważnienie miejscowych władz administracyjnych. Archiwa rządowe przechowały prośbę, podaną w tym celu przez Napoleona, a żądającą wypłaty posagu i pieniędzy, w stosunku jednego liwra na milę, na koszt podróży jego siostry. Maryanna poparała go petycją napisaną ze swej strony. Otóż dwa, te dokumenty zdumiewają zaiste, niezręcznością stylu i błędami ortograficznymi. Ze Napoleon, jako cudzoziemiec, zł. pisał po francusku, to rzecz łatwiejsza jeszcze do zrozumienia. Ale że panna Buonaparte, wychodząc z najpierwszego zakładu naukowego dla córek szlachty i oficerów, mogła tak haniebnie nie znać gramatyki, to już nie do usprawiedliwienia.

W kilka dni później, zarząd Saint-Cyr, zawiadawszy *le sieur Buonaparte*, oddał mu siostrę, wraz z całą jej wyprawą, oraz wypłacił 352 liwry, na koszt podróży uczennicy swej, do domu rodzicielskiego, w Ajaccio.

Przybycie jej tutaj, w surowym stroju wychowanki z Saint-Cyr, oraz świetny mundur Napoleona, wywołały w ojczyźnie ich wielkie wrażenie. Uważano ich za coś tak wyższego, iż piętnastoletnia pensjonarka, w dwa miesiące po przybyciu do domu, o mało co nie poszła za mąż i to za admirała Truguet'a, ce byłoby nowym stopniem do wyniesienia rodziny. Wypadki polityczne pokrzyżowały plany admirała i pani Letycyi Buonaparte, która szczęśliwą była, gdy wśród zamieszek, wstrząsających wyspą, statek handlowy zabrał ją wraz z dziećmi i, pomimo sąsiedztwa floty angielskiej, przewiózł szczęśliwie do Tulonu.

*) Ob. *Histoire de la maison royale de Saint-Cyr, par Théophile Lavallée.*

Pobyt młodzieńczej Maryanny w mieście tem nie zaznaczył się niczem osobliwym. Cierpiała biedę, a nawet nędzę, wraz z całą rodziną, nędza ta zaś, po wspaniałościach Saint-Cyr'u, musiała być dla niej trudną do znoszenia. Gdy więc rząd francuski przyznał Buonapartom pensję, wypłacaną patriotom, wygnanym z Korsyki, gdy nie trzeba już było chodzić po chleb, wydzielany przez zarząd dobroczynności, Maryanna odetchnęła trochę. Wkrótce później, generał Bonaparte, wydostawszy z nieznanego źródła, znaczne pieniądze, zapobiegł na zawsze biedzie swej rodziny, bo oto, co czytamy w liście jego do brata Józefa:

„Posłałem do domu 50,000 do 60,000 franków, w srebrach, gotówce i gałgankach. Nie niepokój się więc o nich.“

Salon pani Letycyi, w którym królowały bardzo wystrojone jej córki, stał się odrazu punktem zbornym najlepszego towarzystwa. Sledzono tu z namiętnościem losy wypraw wojennych, a Maryanna, obdarzona ze wszystkich trzech sióstr usposobieniem najbardziej bohaterskim, zwykła była opowiadać z zapalem pojedyncze szczegóły ze scen żołnierskich, podnoszących chwałę oręża francuskiego.

Pomimo tego, panienka, usposobieniem swem przykrem dla domowników, budziła pewne obawy. Samowolna, despotyczna, ostra w obejściu, nie pociągała nikogo. Chociaż więc po wielkich zwycięstwach Napoleona we Włoszech, dla sióstr jego zdawało się otwierać nowe pole do kariery, pani Bonaparte nie widząc by Maryanna umiała z niej skorzystać właściwie, przyjęła skwapliwie oświadczenie się o rękę jej, pana Baciocchi, dawnego oficera Korsykańskiego.

Ślub młodej pary odbył się d. 1 maja 1797 r. w Marsylii.

Być może, iż na pośpieszne to małżeństwo, na oddanie ręki najstarszej córki pierwszemu lepszemu, który się po nią zgłosił, wpłynął fakt, iż między matką i siostrami, a Napoleonem stosunki były podówczas bardzo napięte. Obrażona, że pomimo niechęci jej poślubił wdowę Beauharnais, rodzina nie zapytała go nawet o zdanie, co do projektowanego małżeństwa z panem Baciocchi.

Nie ulega zresztą wątpliwości, że wyboru tego nie potwierdził. Nowożeńce był wprawdzie człowiekiem dobrym, *przedobrym*, jak go nazywał Lucyan Buonaparte, lecz pozbawionym zarazem wszelkich zdolności i inteligencji.

Rzadka ciasnota pojęć łączyła się u niego z poglądami zbyt „szerokimi“ na wielu punktach, dzięki czemu należało do mężów wygodnych, nie krępujących w niczem swobody żony.

Gdy nieśmiertelna wojna włoska ukończoną wreszcie została, Napoleon, któremu przeznaczono na rezydencję zamek Monbello, zaprosił tam całą swą rodzinę, w celu zapoznania między sobą nowych jej członków. Był to z jego strony jeden jeszcze dowód przywiązania i solidarności. Mniej szym bowiem stanowił mezalians związek jego z Józefiną Beauharnais, niż wybór, pana Baciocchi na męża dla Maryi-Anny, lub współczesne ożenienie się Lucyana z nieokrzesaną i ograniczoną Krystyną Boyer, siostrzenicą oberżystki z Saint-Maximin.

— Józefina — pisze Napoleon w przytaczanych przez Turguana pamiętnikach, — okazała się taką, jaką być powinna, względem matki swego męża: ośypała ją grzecznościami, otoczyła szacunkiem; starała się przytem być zarówno uprzejmą dla sióstr mych, jak dla pana Baciocchi. Celem podróży rodziny niej była właśnie chęć załagodzenia nieporozumień między mną, a siostrą moją Elizą, która, wychodząc świeżo z zarzą, w uniesieniu nowego uczucia, zapominała zasięgnąć mej rady, co do swego małżeństwa.“

Ładne to i pełne pobożania. Naczelną wódz armii włoskiej, zwycięzca z pod Montenotte, Castiglione i Arcole, zapytany po spełnionym już fackie, zezwolił bez cienia urazy na związek siostry swej z Feliksem Bacciochi. Co więcej, on pierwszy zarządał, aby ślub cywilny, zawarty w Marsylii, dopełniony został kościelnym, o którym i Eliza i signora Letycya zupełnie zapomniały.

Aktu tego dopełnił dopiero jakiś ksiądz włoski, w obecności generała Bonaparte na zamku Monbello.

Przebaczenie Napoleona otwierało szerokie horyzonty przed Elizą Baciocchi. Po całym szeregu

zabaw i przyjęć w jego domu młoda kobieta, upojona jeszcze tym wirum świata, wypływa odrazu na jego widownię. Dzięki aureoli otaczającej brata, Lucyan zostaje obrany członkiem Rady Pięciuset, i, zająwszy obszerne mieszkanie przy dawnej *Grande-Rue-Verte*, a dzisiejszem przedmieściu S-go Honoryusza, powierza pani Baciocchi reprezentację swego domu.

Według świadectwa pani de Girardin i księżnej d'Abrantes, nie była Eliza Baciocchi przygotowaną do roli podobnej i nigdy, pomimo dalszych wyniesień nie przyswoiła jej sobie należyte. Umiała, jak inne, przyjmować, urządzać zebrania, bale i przyjemne rozrywki, umiała nawet nadawać ton pewny towarzystwu, lecz brak jej było tej wrodzonej dobroci, uprzejmości i słodyczy, bez której kobieta nie może podobać się rzeczywiście, ani zdobywać sobie przyjaciół, na żadnem stanowisku, od najskromniejszego, do najwyższego chociażby.

Brak jej było niewieściego uroku istoty dobrej, tego czaru, który zniewala i podbija wrogów nawet. Spojrzenie chłodne, słowa suche, ton nakazujący, obejście protekcyjne, oto jej portret towarzyski; co do wizerunku moralnego, Turguan, powołując się na pamiętniki Fouché'go i inne, kreśli go w tak czarnych barwach, iż zarzutów tych nie możemy, przez szacunek dla czytelniczek „*Bluszczu*“, w streszczeniu nawet powtarzać tutaj. Fizycznie, była pani Baciocchi podówczas więcej brzydka, niż ładna. Miała wprawdzie jasną cerę i pewną wysmukłość w postawie, równocześnie jednak była bardzo kościasta i czyniła takie wrażenie, jak gdyby jej duże ręce i nogi zostały przyczepione w niewłaściwy sposób do całej postaci.

Największą jednak wadą Elizy było niebotyczne jej zrozumienie. Mając zaledwo lat 19-cie i wykształcenie nie sięgające do głębin ortografii, postanowiła zamienić dom Lucyana w wielki salon literacki, w którym ona jedna miałaby we wszelkich kwestyach: politycznych, społecznych, naukowych i artystycznych, głos rozstrzygający i ostateczny.

Śmieszność taka zabiłaby każdą inną kobietę, prócz — siostry wielkiego Bonapartego. Gwiazda Napoleona wznosiła się coraz wyżej, ludzie więc cisnęli się chełwie do wspaniałego pałacu jego brata, tłumacząc sobie, iż błędy i wybryki moralne pani Baciocchi, obchodziły tylko jej męża. Skoro zgadzał się na nie, świat nie mógł być od niego surowszym.

Przybrawszy, odkąd Napoleon został pierwszym konsulem, stanowczo imię Elizy, które wydawało jej się bardzo dystygnowanem, stworzyła sobie pani Baciocchi trzy zajęcia w życiu: 1) wojnę podjazdową, prowadzoną zacięciem przeciw bratowej swej, Józefinie; 2) stosunek romansowy, utrzymywane na zabicie czasu, na prawo i lewo; 3) zabawę w wielkość literacką.

Punkt ten ostatni najciekawszym jest dla nas.

Strojąc się w sławę piśmienniczą, jak w modny kapelusz, postanowiła założyć towarzystwo literackie, dostępne dla kobiet tylko, przytem nie czekając na wybór, ogłosiła siebie nie tylko fundatorką lecz i prezydentką stowarzyszenia. Być może, iż przeczuwając możliwość tronu, którego cień rysował się już na horyzoncie, chciała Eliza Baciocchi wprawić się zczasu w rodzaj parlamentaryzmu i przewodniczenia obradom. Dość, że wszystkie kobiety chcące dostać się na dwór pierwszego konsula, zapisały się natychmiast na listę stowarzyszonych.

Zwołano pierwsze walne zgromadzenie.

Celem zebrania miało być ukonstytuowanie związku, oraz narady nad mundurem, obowiązującym członkinie. Alieści, gdy salaapełniła się, na progu stanęła pani Baciocchi a ujrawszy wyższe od innych krzesło, z wrodzonym instynktem Bonapartych, przeszła przez salę i, przez nikogo nieproszone, objęła je w posiadanie. Obrady nad mundurem okazały się również zbyteczne. Przewodnicząca bowiem przyszła już w pełnym umundurowaniu i rozkazała krótko, aby wszystkie uczestniczki związku wystąpiły na następnej sesji w takimże stroju.

Pani Eliza zaś, miała na głowie turban z białego muślinu, haftowany jedwabiem we wszystkich kolorach i przetykany złotem. Po nad nim unosił się wieniec laurowy, zielony, taki, w jaki przyozdabiają na wizerunkach głowy Petrarki i Dantego. Długa tiunika, dziwaczne kroju, a na niej spó-

dnica powłóczysta; żadnych rękawów, lecz wzamian wielki szal, udrapowany w kształcie płaszcza.

Ta maskarada literacka, śmieszna w zaczątku, bo pozbawiona takiego smaku w stroju nawet, nie wywołała pożądanego efektu. Stowarzyszenie upadło.

Dotknięta tem, pani Baciocchi proteguje upodobanie braci swych do tragedii i, obejmując sama najtrudniejsze role bohaterki, urządza u siebie, a raczej u Lucyana przedstawienia teatralne, na których Napoleon, wyprowadzony z cierpliwości, mówi jej wprost, że karykaturuje kreacje Corneille'a, którego „Byłbym zrobił księciem, gdyby żył za mych czasów.“

Wśród tego dworu monarszego, prowadzonego na przemian w Paryżu, lub w Plessis-Chamant, letniej rezydencji Lucyana, Eliza, pochłonięta przez manię artystyczno-literacką i słabości sentymentalnej natury, budziła się z nich niekiedy do poczucia rzeczywistości. W chwilach takich pojmowała, iż należy być przezorną i jednać sobie stronników politycznych na przyszłość.

Niestety, przy oschłym jej usposobieniu, nie było to rzeczą łatwą. Przyjaźń, poświęcenie, kupuje się tylko wielkodusznością. Egoizm, ciasny, w sobie zakochany, nigdy ich nie zdobydzie. Najlepszym tego dowodem, następujące zajście jej, ze słynną panią Réeamier:

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Za praktyczna.

Dziś rocznica naszego ślubu. Trzy lata upłynęło od tego czasu. Trzy lata! a mnie się zdaje, że to już temu tak dawno, tak dawno.

Trzy lata temu odprowadzałem ją od ołtarza wśród szmeru pochwał zebranego tłumu, który się ciskał w kościele; znajomi ściskali mnie za ręce i życzyli szczęścia, biedna ciotka moja, która mnie wychowała, płakała od wzruszenia.

Byłem zakochany jak szaleniec i pamiętam ręką mi drżała przy ściąganiu rękawiczki przed ołtarzem.

Byłem pod wrażeniem tak silnem, że chwilami traciłem pamięć, Oleś, który mi służył za starszego drużbę, co raz przypominał mi jakiś szczegół zapomniany przeze mnie.

Lękałem się czy na czas wykończy ogrodnik bukiet przeznaczony dla niej, ślubny bukiet. Ten ślubny bukiet nie pozwolił mi zasnąć przez całą noc; dobierałem w myśli wielkość i gatunek kwiatów, pragnąłem aby to było coś wspaniałego. Bukiet dla niej, dar, który jej miał być ofiarowany przeze mnie w chwili, gdy będzie składać przysięgę, że stanie się moją, moją własnością, moją towarzyszką w dobrym i złym losie. Gdybym mógł, ja bym ją w owej chwili obsypał kwiatami z brylantów.

Mój bukiet z białych kwiatów był ogromny, a Oleś mówił, że był wspaniały.

Słowa od wzruszenia cichły mi na ustach, gdy go jej wręczał. Lecz ona spojrzała na bukiet ze zdziwieniem, a na mnie z wyrzutem i wyrzekła tylko:

— Na co podobne zbytki, panie Juljuszu? Musiał pan bardzo drogo zapłacić za te kwiaty; trzeba było kazać ze zwyczajnych, co by wyniosło o wiele taniej.

Prawda, miała rację. Moje położenie było tego rodzaju, że nie mogłem sobie pozwalać na wielkie wydatki, ona również nie miała posagu, a jednak zrobiło mi się, tak po jej słowach, jakbym się znalazł nagle pod tuszem zimnej wody...

Potem stanęła w progach mego domu. Zarumienioną, uśmiechniętą, oprowadzałem ją po naszym skromnym mieszkanku, sam upojony szczęściem, czytałem w jej oczach zadowolenie z tego zakątka, gdzie odtąd miała być panią i królową.

Wehodziłszy do saloniku, szybkim rzutem oczu powiodła dokoła.

— Posągi, obrazy! — zawołała.

To był mój tryumf. Ten śliczny krajobraz Chełmońskiego, który umieściłem na najwidoczniejszym miejscu, nie mogąc długo dobrać dla niego odpowiedniego oświetlenia, nabyłem na Wystawie sztuk pięknych. Od chwili gdy go tam po raz pierwszy wystawionym ujrzałem, rozmiłowałem się w nim najzupełniej i Bóg jeden wie, kosztem jakich wysiłków i prywaty zdołałem nabyć ten obraz. Bo doprawdy on przedstawiał dla mnie więcej niż kawałek nieba, rozciągniętego nad polanką leśną, on mi przypominał całe moje dzieciństwo spędzane na wsi, wśród swobody, mój Boże...

W tej chwili zląkłem się, że ona, że moja ukończona, pobieżną zaledwo zwróci uwagę na to co dla mnie tak miłym było, i nie znajdując na razie lepszej rekomendacji, wymienilem nazwisko Chełmońskiego. Lecz to co mogło na każdym wywołać wrażenie, objawiło się u niej w zupełnie inny sposób.

— Jakże ci się dostał ten obraz?

Uśmiechnąłem się i zacząłem opowiadać w jaki sposób przyszedłem do jego posiadania.

— Szkoda—szepnęła—szkoda.

— Czego?—zapytałem.

— Pieniądzy, które na to wydałeś; można by je użyć na coś daleko praktyczniejszego w gospodarstwie. Mój pan nie pomyślał, że moglibyśmy się obyć bez podobnych zbytków; nas nie stać na to.

Dostałem wzruszenia, jakbym chciał ukryć twarz w dłoniach wobec mego arcydzieła; nie miałem odwagi spojrzeć na nie... Ile razy ja byłem głodny, aby móżdż zaokrąglić sumkę potrzebną na kupienie tego obrazka...

I odtąd rozpoczęło się dla nas to życie regularne, systematyczne, praktyczne, pozbawione tego wszystkiego, co nie miało związku z jego istotnymi potrzebami. Więc zbytkiem był bukiet fiołków, kupiony w cieplarni, bo za tę cenę można mieć parę wełnianych skarpetek; zbytkiem nabycie ładnej książki, bo tylko wielcy panowie mogą mieć czas i pieniądze na zajmowanie się literaturą; zbytkiem te wszystkie drobnostki i cacka, które mi się zdobił pokój swojej siedziby, bo przy braku odpowiedniej służby tłucze się to tylko i niszczy niepotrzebnie, zbytkiem na koniec ładniejsza zabawka dla naszego synusia, bo lepiej za pieniądze, które się ma na to wydać, kupić mu książeczkę oszczędności.

I we wszystkim tem co mówiła, ona miała słuszość, bezwzględna, absolutną słuszość, a jednak...

Pamiętasz, synusiu mój malutki, jak ci się podobał ten konik na biegunach, który widziałeś na gwiazdce u synka naczelnika, dokąd, choć takie małe bobo musieliśmy cię zabrać, bo mamusia nie miała cię przy kim zostawić. Pamiętasz jak wyciągałeś rączki i wołałeś: daj! daj! Oczki ci błyszczały, serduszek biło od wzruszenia. I twój tatuś niepraktyczny obiecał ci takiego samego konika, a ty, ile razy zobaczyłeś go wchodzącego, wołałeś: daj konika, daj! Nawet kiedy marzyłeś przez sen, wołałeś: daj! daj!

Wierz mi synku, tatuś miał wielką ochotę kupić ci takiego samego konika na biegunach: dwie godziny dłużej pracy przy lampie i po paru tygodniach miałbyś swoje marzenie urzeczywistnione—a jednak nie dostałeś swego konika...

O! mój syneczku, powinienes bardzo kochać mamę, bo ona już dziś myśli o tem aby ci zapewnić, gdy przyjdzie czas na to, przebycie szkół i zabezpieczenie przyszłość, ale daj-no uszko, tatuś ci szepnie coś cichutko, tak cichutko, że nikt nie usłyszy, a i ty nie zrozumiesz, boś malutki: pamiętaj, synusiu, kiedyś, kiedyś, gdy urośniesz duży i serce twoje uderzy do wybranej kobiety, niech ona będzie tak praktyczna i gospodarna, jak twoja mamusia, a! niech wniesie także do ogniska waszego domo-

wego trochę blasku tego innego słonecznego światła, bo życie nieozłoczone choćby promykami poezji, ciężkie jest... ciężkie, mój synusiu, bardzo...

E. Jerlicz.

Z bieżącej chwili.

— Od strony południowej kościoła N. P. Maryi przy ulicy Kościelnej, która w roku przyszłym ma być rozszerzona, znajduje się obszerne nisza, niegdyś malowana i zacny pleban parafii Najświętszej Panny Maryi, kanonik Jungowski, pragnie aby w tej niszy został odmalowany *al fresco* Ogród i za pośrednictwem czasopism odzywa się do artystów naszych malarzy, czyby który z nich nie chciał poświęcić na ten pobożny cel pracy swojej, oświadczając przytem iż gotów jest ponieść wszystkie odpowiednie wydatki, oraz ofiarować skromne wynagrodzenie za pracę artysty.

— Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności zezwoliło na otwarcie przy ul. Żelaznej, Nr 1126 przytułku dla nieletnich chłopców, pozostawionych bez opieki pod nazwą „Nazaret.“ Wkrótce przecież ze względu na nowego właściciela, zarząd zakładu zniewolonym został do zwinięcia czasowo zakładu. Lecz obecnie pragnąc aby ta wielce pożyteczna instytucja miała stałe podstawy bytu, zwróceno się do zarządu Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności o wyznaczenie placu pod budowę domu na terytorium poddominikańskim.

— Jeden z inżynierów naszych opracował projekt nowego Towarzystwa ubezpieczeń robotników wszystkich fabryk w Królestwie.

— Właściciel majątku ziemskiego Rajowszczyzna w powiecie trockim p. Mańkowski, pielęgnuje od lat trzydziestu morwy w celu rozszerzenia jedwabnictwa, w okolicach tamtejszych, przykład ten nie wydał przecież pożądanego skutku mimo zachęty czynem i słowem popieranej. Wykazuje on, że drzewa morwowe utrzymują się bardzo dobrze w naszym klimacie, a jedwabniki wynagradzają dostatecznie trudy ich pielęgnowania. Wyprodukował on z nasion przywiezionych z Francji około 1,000 drzew, a choć praktyczna strona tego przedsięwzięcia nie opłaca się odrazu dostatecznie, niemniej z czasem zyski otrzymane wynagrodzą to zawsze.

— Instytut oftalmiczny jest wciąż przepełniony pacjentami, lekarze zmuszeni też są dawać pierwszeństwo ciężko chorym i niezamożnym. Aby uprzywilejować im tu pomoc rada miejska postanowiła powiększyć liczby łóżek od 15 do 20; rozszerzenie to kosztować będzie około dziesięciu tysięcy rubli, ale jest to wydatek ze wszelkich względów konieczny.

— Na placu wystawy higienicznej zasługują na uwagę okazy wystawione przez biuro techniczne inżyniera Stanisława Sierkowskiego. Mieszczą się one w prawym skrzydle głównego pawilonu a jest tu maszyna do prania i płukania bielizny, aparat dezynfekcyjny, regulatory ciśnienia gazu, przyrząd samodiałający do gaszenia ognia według systemu Grinnea, wodomiary „Pszczoła“ wyrobu amerykańskiego, wprowadzone w użycie przy wodociągach przez zarząd miejski. Zarząd zakładów ciechocińskich okazał znaczny postęp i stan obecny tej wielce pożytecznej miejscowości kuracyjnej przedstawiony jest na wystawie.

— Wystawa w Dreźnie przedstawia wiele przedmiotów godnych widzenia. Pochód gromad ludowych w strojach narodowych liczył 800 uczestni-

ków z różnych okolic Saksonii oraz Łużyce pruskiej. Sławiąską ludność tej ostatniej miejscowości okazała się w narodowych szatach swoich odwiecznych, których różnaitość jest wielka, bo niemal każda parafia różni się od drugiej. Weselne grupy ludowe z Nieswaicidła pod Buduszynem, oraz ze Stepego pod Muzakowem przyściagały wzrok malowniczością szat swoich i wdzięków urody dziewcząt z miejscowości Dolnych Łużyce: Borki, Wierbno i Popaje. Tak w tym pochodzie jak i w oddziale etnograficznym wystawy przedstawiał się wielce zajmujący widok żywotności tego sławińskiego ludu, który nie zatracił rodzinnych obyczajów i nie porzucił narodowych szat swoich. Serbskie wystawowe muzeum ludowe, umieszczone w bardzo dziewiczym pawilonie, nie ustępowało takim też muzeom saskim, a zasługą to jest główną uczonego słowaka, D-ra Muka.

— Nakładem T. St. Nasierowskiego wyszedł z druku wybór poezji Lenartowicza w ozdobnym wydaniu a zawiera on „Błogosławioną“, „Zachwycenie“, „Chatę pod śniegiem“ i „Żłotą kaczkę“. Wysła też u Krzyżanowskiego pieśń Żeleńskiego do słów Tetmajera „Zawód“ a staraniem Echa muzycznego arya Kirkora i pieśń Grabca.

— Budowa kościoła na Woli, mającego się wzniesić według planu i kosztorysu, wypracowanego przez budowniczego Dziekońskiego, postępuje pomyślnie. Pleban miejscowy, ksiądz Siewierski, ofiarował na ten cel 30,000 rs., a obecnie czyni starania, aby budowa rozpoczęta została zaraz po zatwierdzeniu planu, a to aby fundamenta wyprowadzono z ziemi i założono kamień węgielny.

— Zarząd Kasy imienia Mianowskiego przeznaczył 400 rs., na rzecz oddziału antropologicznego, który ma powstać wkrótce przy Towarzystwie lekarskim.

— Urzęda starszych warszawskiego zgromadzenia rzemieślników wydały w roku bieżącym kilkunastu czeladnikom świadectwa, upoważniające do podróży w Austrii i w Niemczech.

— Wycinanie ogrodów prywatnych, mieszczących się w obrębie Warszawy, aby robić miejsce dla nowo mających się wzniesić budowli, zwiększa się wraz ze szkoda dla zdrowotności miasta. Ogrody mieszczące się dotąd przy ulicach: Wilczej, Nowowiejskiej, Mokotowskiej i innych padły już o ziemię pod ciężem topora. Przy ulicy Bednarskiej wycięto skwer i część znaczną ogrodu dotykającego seminarium duchownego. W okolicach rogatek powązkowskich wycięto większe i mniejsze ogrody, które przecież obok ozdoby miasta i przyjemności oddychania świeżym powietrzem, jakie dają, przynoszą i korzyść materialną, jak to piszą z Wilna, a co gospodynie nasze przeczytać powinny uważnie:

„Owocowo-domowy przemysł coraz się więcej u nas rozpowszechnia. Oprócz win jagodowych i owocowych spotykamy w powiecie lidzkim francuską suszarnię owoców w ogrodzie p. p. B. przynoszącą z sadu daleko większe zyski, niż przy starym systemie wydzierżawiania sadów.“ W powiecie Świeciańskim fabrykują się bardzo smaczne sery jabłeczne, konserwy owocowe, oraz owoce smażone w cukrze nie ustępujące kijowskiemu. W kilku miejscach wyrabiają konserwy z warzyw i jarzyn, oraz przygotowują warzywa suszone, bardzo chętnie rozkupywane. W wielu dworach wina i nalewki własnej fabrykacji wyrugowały z piwni wszelkie wina zagraniczne.“

Do dzisiejszego numeru „Bluszezu“ dołącza się: ark. 14 i 15 powieści p. t. **Fata Morgana**, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego.

TREŚĆ: Bez dzieci i z dziećmi.—Z cyklu „Dla niego“, przez Natalję Janowską.—**Kędy droga?** Powieść współczesna, przez Wandę Grot-Bęczkowską (dalszy ciąg). — **Nowiny paryżkie**, przez C. H.—**Wiadomości z higieny i medycyny popularnej.** O odżywianiu, przez Stanisława Kamińskiego (dalszy ciąg).—**Siostry Napoleona**, przez Anatola Krzyżanowskiego (dalszy ciąg).—**Za praktyczna**, przez E. Jerlicza.—**Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: **Fata Morgana**, powieść, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego, ark. 14 i 15.—Przegląd mód. 20 wzorów i robót z opisem Sekretów gospodarskich.—**Dyspozycja stołu.**